

SPRAWY MŁODYCH

NIE TYLKO

Nr 3

Poznań, 24 listopada 1982

PROSZE O GŁOS

TAK TRZYMAC!

Droga listowna chce podziękować redakcji „Głosu Wielkopolskiego” za innowację — wprowadzenie dodatku „Sprawy nie tylko Młodych”. W odczuciu moich znajomych i moim własnym, wprowadzenie wkładki utrącającej i tak popularny w naszym regionie „Głos”. Dla celów statystycznych informuję, że nie należy (ani grono moich znajomych) do grupy młodych wiekiem ludzi. Mam 40 lat — pracuję jako umysłowy, czyli jak się to ładnie określa — inteligencja pracująca.

W dodatku podoba mi się ciekawy zestaw tematów. Każdy (moja opinia) może znaleźć interesujące go sprawy. A ogólnie — wkładka redagowana jest lekko i zwlewnie tak, że czyta się ją od „dechy do dechy” i żal, że się już kończy.

Co skłoniło mnie do napisania tego listu, szczególnie w „Kryzysie opinii pozytywnych”? List mój ma być wyrazem podziękowania kolegium redakcyjnego za wprowadzenie czegoś według mnie nowego i udanego. I życzenia: byście zdrowi byli; byście kontynuowali; byście tak trzymali; byście się rozmnażali (w nakładzie).

(2145)
Grzegorz Grzybowski
Gniezno

CIĄGLE TO SAMO

Krajowa prasa zanudza nas ostatnio coraz bardziej problemami politycznymi, gospodarczymi i ekonomicznymi. Mam tego dosyć, gdy tylko włączę radio słyszę o tym gdy włączę telewizor — to samo, otworzę gazetę — jeśli chce poczytać — to muszę właśnie o tym, o niczym innym. Dlatego duże nadzieje łączyłem z głosowym dodatkiem „Sprawy nie tylko młodych”.

Po dwóch numerach tego dodatku nie powiem, by spełnił on moje wszystkie oczekiwania, ale po części to jest to. Najbardziej cieszę się z tego, że jest to dodatek nie tyle o młodych ile dla młodych. Uważam jednak, że jest robiony trochę topornie. Mało w nim tego młodzieżowego luzu. Może ożywiłby się przez jakieś zdjęcia ładnej dziewczyny (niekoniecznie przecież rozbrananej). Moim zdaniem za bardzo zlewa się on z właściwym „Glosem Wielkopolskim”. Mało zaakcentowana jest jego inność. Może potrzebne jest także trochę koloru na jego stronach?

Piszcie również o sprawach nieco tajemniczych i sensacyjnych dla przeciętnej czytelnicy. Może jakieś sensacje z półświatka przestępczego, ze sportu i życia społecznego.

(2176)
K. G. — Poznań

DO MŁODYCH STARCÓW

Nihy to te wasze strony są młodzieżowe, a wydają mi się takie starszuskowate. Piszcie tylko o mieszkaniach, o robocie i za przeproszeniem o zarciu i też o tym, ile i jak najlepiej młodzi mają zarobić forsy. Oczywiście polane jest to sosem państwowo-twórczym. Czy wy myślicie naprawdę, że młodym wrażliwym ludziom wystarczy urządzenie sobie tylko życia? A może byście tak pomyśleli coś o samym sensie życia? A może zresztą jesteście przekonani, że ten sens to jest już taki oczywisty? Bo młodzi to mają takie problemy jak po prostu żyć, co jest ważne i najważniejsze w życiu. Dyskultują o miłości i śmierci, o zdradzie i lojalności, o wolności, o tym też, czy jest Bóg, czy go nie ma... Śmieszne to się oczywiście dla was, starszuskowie, mogą wydawać tematy. Ale dla nas są to ważne sprawy.

(2177)
Jacek Ręczyński
Poznań

Poglądy i opinie prezentowane w rubryce „PROSZE O GŁOS” nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji. Listy prosimy kierować pod adresem „Głosu Wielkopolskiego” z dopiskiem na kopercie — „Sprawy nie tylko Młodych”.

Dzisiaj kartka CZERWONA

Bezdomnych w dom przyjmą

Gdy nadszedł na nas czas i przyszło się ożenić lub wyjść za mąż to trudno sobie wyobrazić rodzinne stado bez dachu nad głową. Tego samego nad oboma głowami. Niestety, rodzice nie zawsze mogli nas wyposażyć w książeczki mieszkaniowe. Zresztą taką książeczkę przez najbliższych kilkanaście lat możemy sobie tylko poczytać. Tam i z powrotem, w przód i wspak, nawet na krzyż. Wymieniając ją na mieszkanie, będziemy posunięci już poważnie w latkach.

Teraz więc łapiemy za gazetę. Najlepiej za „Głos Wielkopolski”, bo tam tego najwięcej i szukamy. Czego? Ofert. Na stronie ogłoszeniowej w rubryce „Lokale”. I są, a jakże, ale takie jak: poszukuję pokoju — (my też); zamienię na większe, mniejsze — co zamienić gdy nie mamy żadnego? Sprzedam M-ileś za bony PeKaO — okazuje się, że guzik, a nie za bony — tylko waluta w sumie 20 000 dolarów za M-2. Skąd to brać? „Przyjmę na wspólny pokój, panią, pana”. Nam, jako małżeństwu, współzycie na wzór komuny hippisowskiej wyrażenie nie leży. „Zamienię mieszkanie w Gnieźnie na podobne w Poznaniu”. I co nam z tego? No, nareszcie jest — małe to jakieś, nieokazałe: „Wynajmę pokój” i adres. Kręcę nosem bo daleko i na peryferiach. Zona się śmieje. Jedź, zobacz. Jak załatwisz, to nawet dam na mszę. No i jestem. Oczywiście za późno

— pan już przyjął dwie panienki. Wiedział co robi, a ja wiedziałam, co dopiero zrobić. W każdym razie tak mi się zdawało.

Ranekiem skoro świt ustawiam się przed kioskiem. Tym najbliższej drukarni licząc na to, że tam prasę dostarczą najszybciej. Z gazetami pod pachą podpadam samochodem kolegi. Ruszamy nim na zachodnich filmach. Z piskiem opon i pełni nadziei. Junikowo. Mile uśmiechnięta kobieta

Dziennikarskim obowiązkiem jest być blisko i obserwować, przywilejem i powinnością — oceniać. Będziemy przyznawać nasze zielone, żółte i czerwone kartki tym wszystkim, którzy naszym zdaniem na to zasługują. Dzisiaj — kartka czerwona, jak krew, która nas zalewa.

ta wita nas z rozjaśnioną twarzą. „O, już pierwsi klienci!” mówi i za chwilę tego żaluje, nie mogąc wyjaśnić dlaczego, nie chce wynajmować pokoju małżeństwu. Powiedziała by na odczepne, że ktoś mnie ubiegł, ale nie. Tak robia gdzie indziej. Na Dębca, Wildzie, Zegrzu, Chwaliszewie... Hasło „Małżeństwo”, zawsze wywoływało odzew. „Nie”. Krótkie, treściwe, jak wyrok.

Później przywoływałem na ratunek całą swoją przebiegłość. Wszystkie swe umiejętności aktorskie. Nie, że będę

pracował za 4500?”. Kobieta na wystraszoną nie wygląda, ale chce wszystko zatwierdzić jak trzeba. „Mój się uchyła od roboty? Toż on do prywatnicarza poszedł. Wydział tylko nie pracował, bo się rozliczył z poprzednim zakładem”.

Jest jeszcze jedna sprawa — arcykuriozalna. Rozpatrywana z racjonalnie. Jej bohater, zwolniony z Wronek na leczenie w Poznaniu,

Dokończenie na str. 2

LESZEK GRACZ

NIEPROSTE PYTANIA

Nikt nie rodzi się ekstremistą

na uchylenie od niej?” — oskarżycielka publiczna odpowiedzieć nie potrafi. Jeden z członków kolegium gładząc w zakładaniu włosy mówi tak: „Ja już w tej Polsce Ludowej tyle nabroiłem. Dwadzieścia kilka lat byłem radnym, trzydzieści lat ożenkiem w kolegium. Tych medaliłów to już mam... Ale teraz kończę. W tym roku kończę definitywnie”. Przewodniczący składa orzekającego w tych słowach: „Mówię panu z całą odpowiedzialnością, że takiego bałaganu, to nie widziałem dawno”.

W następnej sprawie brakuje obwinionego; przyszła jego żona z dzieckiem. Dostali zażalenie, ale mąż jest w pracy poza Poznaniem. Dlaczego porzucił poprzednią? „A pan by

pracował za 4500?”. Kobieta na wystraszoną nie wygląda, ale chce wszystko zatwierdzić jak trzeba. „Mój się uchyła od roboty? Toż on do prywatnicarza poszedł. Wydział tylko nie pracował, bo się rozliczył z poprzednim zakładem”.

Jest jeszcze jedna sprawa — arcykuriozalna. Rozpatrywana z racjonalnie. Jej bohater, zwolniony z Wronek na leczenie w Poznaniu,

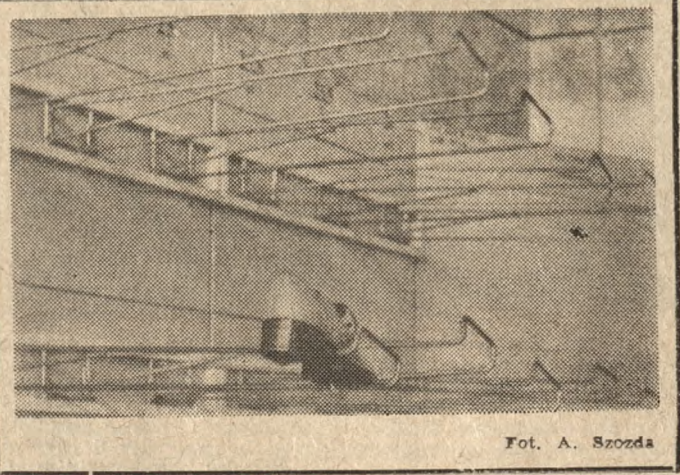
cupnięty został przez MO bez wpisu w dowodzie o zatrudnieniu. Wydział dał mu skierowanie do pracy. Po tem jedna pani telefonicznie sprawdziła czy tam jest. Gdy się dowiedziała, że go nie ma — wydział posłał wniosek do kolegium. Facet już dawno był z powrotem w pułku, skąd pisał odwołania z taką oto myślą przewodnią: „A który więzień może podjąć pracę zgodnie ze skierowaniem, skoro jest za kratkami?”. Uczestnicząca w jawnych częściach rozpraw przedstawicielka Wydziału Zatrudnienia nie mogła ukryć swego zakłopotania. Podobno jest nowa. No to co z tego?

*

Dla nikogo nie jest tajemni.

„Partia nie chce, aby młodzież była potulna i grzeczna. Niech będzie ona odważna, bezkompromisowa, nawet buntownicza, ale niechaj to służy dobrej sprawie.”

Wojciech Jaruzelski



Fot. A. Szozda

Między wiejskimi oplotkami

Skok wwyż bez poprzeczki

Zwyczajna wieś. Kilkadziesiąt gospodarstw, filia szkoły podstawowej, kościół, sklep spożywczy, kiosk „Ruch”, wiejska świetlica. Zwyczajna młodzież. Ucząca się lub pracująca „z dojazdu”; niektórzy przymierzają się do przejęcia gospodarstw po rodzicach. W większości należą do ZMW. Zwyczajne problemy. Te codzienne, związane z pracą, nauką, dojazdami, zaopatrzeniem. Te sobotnio-niedzielne — co zrobić? Aby się nie nudzić. I te ogólne, rzadko artykułowane pytania o miejsce w wiejskiej społeczności, autentyczność działania organizacji młodzieżowej, o sens, o miejsce w życiu.

☆

Po raz pierwszy z młodzieżą z tej wsi spotkałam się wiosną ubiegłego roku. Chciałam poznać ich powody zmiany przynależności do organizacji młodzieżowej. Zamiany ZSMP na nowo powstające ZMW. Usłyszałam sporo narzekania na sformalizowanie działalności tej pierwszej, potem równie proporcjonalną dawkę planów na przyszłość w drugiej. Mówiło 5-6 osób. Pozostali, milczeli.

Po blisko półtora roku, milczeniem zaraził się wszyscy. Można by przyjąć, że jest to milczenie celowe — bo rozmawia się z przedstawicielem prasy „reżimowej”.

Pierwsze wrażenie: trochę jak w szkole. Na bożo rozmowę towarzyską nie ma co liczyć. Na „pryncypialną” tym bardziej. Odpowiedzi i to tylko na niektóre pytania otrzymałam dzięki metodzie palca wskazującego.

— „Nas trzeba wywoływać do odpowiedzi. Jeżeli wskazesz i powiesz: zrób to czy tamto to owszem — delikwent zrobi. Nóżdźcie, powie ale na zasadzie dobustu brzęco. Brak chęci wyjścia poza obowiązki. Brak walki. Nawet

Dokończenie na str. 2

HALINA KNEBEL

co, że polski wymiar sprawiedliwości, a szczególnie kolegia, gdzie wniosek o ukaranie może złożyć każdy — zalewane są potokiem błahych spraw. Kolegia się śpieszą, nie mogą nadążyć, bo wciąż czekają kolejne numerki. „Numerki” to są od kilku lat przekleństwem małej i wielkiej Temidy. Jej słudzy są z nich rozliczeni, ponaglani, naciskani. Być może te numerki powodują, że czasem dochodzi do cyrkowych prawie numerów. Takich jak ten z owym więźniem uchylającym się ponoć od pracy. Rozprawa, o której wspominałem, odbywała się w trybie rewizyjnym, po jego odwołaniu się od decyzji, orzekającej karę 4200 złotych grzywny. Jej zamiennikiem jest — 42 dni aresztu. Kto tego nie pojmuje, powinien się zamknąć w jednym pokoju choć na 42 godziny. Ja byłem w więzieniu kiedyś: dwie godziny. Jako reporter. Tematów, które mogłyby mnie tam znowu sprowadzić — nie podejmuję. A do przeważających nie należą.

Być może dlatego w pierwszych chwilach mej rozmowy z dyrektorem poznańskiego Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych zaważałem go pytaniami: „Czy tak ma wyglądać społeczne zmaganie się z pasożytnictwem, że oferty życiowe dostają po grzbiecie, a cwani śmieją się w głos?”. Jakież porzucenie o praworządności będą mieć ci młodzi ludzie, którym robi się deę sprawy?”. „Jak moż na realnie zagrozić karą pozbawienia wolności tym, którzy porzucili pracę lecz wkrótce ją podjęli?”. Jak i kto je rozpoznaje zanim jeszcze trafią do

kolegiów?”. Pytań tych było znacznie więcej, ale po kilku minutach rozmowy zmieknęły, a nikt nie rodzi się ekstremistą. W dyrektorskim gabinecie powiła wszakże bezradność.

Informacje o osobach uchylających się rzekomo od pracy czepie wydział z kolegiów, prokuratur, MO, Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, od komorników oraz z zakładów, gdzie miał się zgłosić człowiek ze skierowaniem do pracy. Często zgłaszają swoich i rodziny; przede wszystkim żony, pozostające wraz z dziećmi bez środków do życia. Przez wydział przewija się cała galeria różnych postaci. „Wiemy dużo — mówi dyrektor — ale nie jesteśmy w stanie wszystkiego sprawdzić”. Wiedza na przykład, kto zgłasza się do prywatnicarza, uzyskuje pieczątkę w dowodzie o zatrudnieniu, sam płaci za siebie podatek, składkę ubezpieczeniową, handluje, wyprawia inne cuda, a kiedyś dostanie jeszcze za to emeryturę. Ale to wszystko trzeba udowodnić. Kto ma to robić? Wydział Zatrudnienia?

W tym roku Wydział Zatrudnienia w Poznaniu „zrobił” 180 spraw przeciwko osobom uchylającym się od pracy. Orzeczenia kolegium w tych sprawach były różne. W paru przypadkach, gdy obwiniony podjął pracę, wydział sam wycofał wnioski o ukaranie. Niekiedy tuż przed rozprawą. Mocno wydaje mi się to niewiarygodne skoro znam przypadek postawienia wniosku o ukaranie człowieka, który w sierpniu 17 dni był bez pracy i po-

Dokończenie na str. 2

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

POGLĄDY I OBSERWACJE

„Ilu ludzi, którzy wyjechali z Polski jako studenci czy młodzi inżynierowie, zajmują tam teraz wysokie stanowiska w przemyśle, w nauce... Przecież taki człowiek jest wart setki tysięcy dolarów! A oni to dostali za darmo... A więc — uczyć się, nie tracić kadr!... zrozumieć, uznać mikroelektronikę za decydujący front, skoncentrować wysiłki, podjąć decyzje. Im później, tym gorzej. A jeśli tego nie zrobimy, to wiek XXI przegramy”

Prof. ADAM SCHAFF
„Tu i Teraz” nr 25

„...daliśmy sobie wznówić rolę szczególną, powołując się na losy Polski! Bardzo przepraszam, ale nie dostrzegam niczego specjalnego w naszych losach. Mógłbym wymienić wiele innych narodów, które więcej ucierpiały niż my, np. będąc w niewoli nie 150 lecz 500 lat. I nie tylko my organizowaliśmy powstania narodowe. Mówienie więc o jakiejś specyfice polskiej jest przeżytkiem”

TADEUSZ HOŁUJ
„Panorama” nr 37

„Metryka podkreśla tylko pewne podziały, ale ich nie tłumaczy. W każdym społeczeństwie i w każdej epoce są wyrostki, zachowują się jednak różnie i dlatego samo słowo wyrostek niewiele wyjaśnia. Dlatego też uprawiana przez niektórych gloryfikacja buntu młodzieży tylko dlatego, że jest to bunt, również jest nadużyciem”

DANIEL PASSENT
„Polityka” nr 39

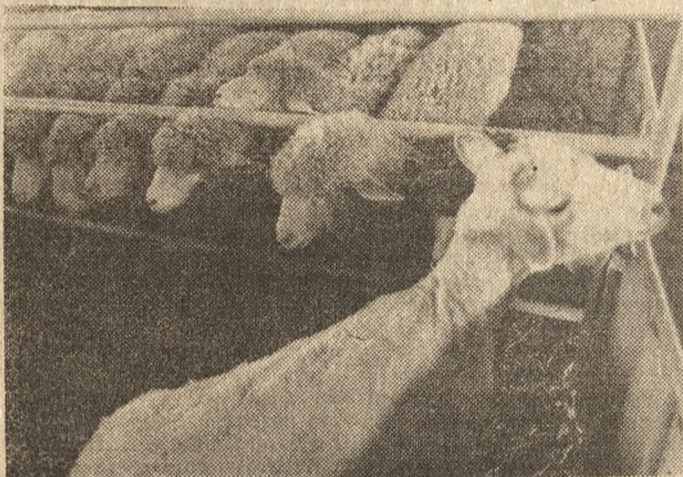
„Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ludzie sobie nie wierzą. Wiem na własnym przykładzie, że do wszystkiego podchodzą z rezerwą, z niedowierzaniem. Jesteśmy w rozterce, skłaniamy się to w jedną, to w drugą stronę. Ciągłe ogarniają nas wątpliwości”

Beata o kryzysie
w oczach licealistów
„Przegląd Tygodniowy” nr 34

„...nasz system kształcenia w zakresie wychowania fizycznego wciąż utrzymuje się na poziomie XIX wieku. Dominuje ilość a nie jakość zajęć, stad brakuje przede wszystkim motywacji uczniów do wykonywania ćwiczeń”

RADOŚLAW BOTWIŃSKI
„Razem” nr 30

Wśród baranów ciężko być innym



Fot. „Głos” — R. Królik

Nikt nie rodzi się ekstremistą

Dokończenie ze str. 1

noć jej szukał. Znalazł. Sprawę zrobiono mu pod koniec października. O uchylenie się od pracy. Zdaniem dyrektora ani ko legium, ani jego pracownicy, nie sygnalizowali żadnych nieprawidłowości. Niepokojów, wątpliwości też nie. A, że takie muszą po wstać — dyrektor nie przeczy.

Cień nadziei widzi on w dwóch rzeczach: nowej ustawie i rozporządzeniach wykonawczych do niej oraz w reformie gospodarczej. Reforma może spowodować, że mały margines bezrobocia powstanie, zrobi się wrzawa na cały świat, że właściciele środków produkcji są w socjalizmie bezrobotni, ale przy

okazji ludzie zaczną się zgłaszać po zasiłki. Ustawiczne nie-roby też. Wtedy się ich chociaż zarejestruje.

Nowa ustawa — zdaniem dyrektora — mocno krytykowaną może też coś w tym zakresie zdziwiać. Ale niewiele. Jakiśkolwiek radykalniejsze pociągnięcia ograniczają polskie zobowiązania międzynarodowe zabraniają ce stosowania przymusu pracy Tymczasem w zakładach pracy narasta gniew na nieporadność w zwalczaniu pasożytnictwa społecznego. Sytuacja taka może trwać — tylko po co? Administracja państwowa musi coś tu zrobić. Musi zrobić należyte, co do niej należy.

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

Skok wzwyż bez poprzeczki

Dokończenie ze str. 1

na naszą skalę — z czymkolwiek. Coś ze szkolnego rygoru, od którego nie potrafimy odejść” — „przełamala się” jedna z dziewcząt, lecz była to jedyna spontaniczna wypowiedź.

Przeglądam kronikę kół. Od powstania kół ZMW do lutego 82 dość bogata w opisy różnych imprez. Turystyka, sport i rekreacja, porządkowanie przystanku, autobusowego i chluba kół (a jeszcze większa działalność Zarządu Wojewódzkiego) — amatorski zespół teatralny.

Odnosił — jak na swoje możliwości — spory sukces. Z przygotowywaną własnymi siłami sztuką — kolo występowało pięciokrotnie, z czego najmilej wspomina się spektakl wyjazdowy — na szkoleniu aktywny związkowego w Gdańsku. Gdy mowa o teatrze, ZMW-owcom jaśniej twarze. Zabawa w teatr sprawiała sporo radości i przysporzyła około 20.000 zł „na dalszy rozwój”. Z puli Zarządu Wojewódzkiego. Trywiałując można przypuszczać, że jest to wszystko, co dała zmiana organizacyjnej przynależności. Po kilkumiesięcznym zwrywie powrócił „zwijs”. W kronice odzwierciedlają to nieliczne zapisane kartki. Nawet zespół teatralny nie pyta „Mam grać?” Z braku instruktora lub chociażby półfachowej pomocy. Ale czy tylko?

— Minionego lata nikomu nie chciało się nawet wyjść na boisko i zawiesić siatkę, by pograć w piłkę — mówi zniechęcony były przewodni-

czący, który ma dość i nie chce już uchodzić za frajera lub wariata.

Wariat w tym kontekście znaczy: człowiek z wiarą w to, co robi; ten który pociąga za sobą innych. Założenie: aktywny, z przebieciem, sportem zapasem pomysłów. Praktyka: trochę frajer, bo musi dźwigać cały ciężar organizacyjny. Rzucić pomysły, przygotować, wyznaczyć: kto, co, jak. A najczęściej zrobić samemu — mówi były przewodniczący. Obecny nie przyszedł, podobno nie zdążył wrócić z pracy.

— „Jaki przewodniczący, takie kolo” — powtarzają wszyscy, którzy mają cokolwiek wspólnego z ruchem młodzieżowym. Zastój z przyczyn kadrowych? W „mojej” wsi mało kto ma ochotę na tę funkcję, a z pewnością nikt z zebranych. (Na umówione spotkanie przyszła trzecia część posiadaczy związkowych legitymacji). Po rezygnacji pierwszego przewodniczącego (rok pracy) rotacja przybrała szybkie tempo. Obecny jest już trzecim czy czwartym z kolei. Na nowych „frajerów” nie ma co liczyć. Żeby tylko na to!

Przez świetlicę przechodzi naczelnik gminy; w sąsiedniej sali zebranie wiejskiej pop. Prosi, aby ktoś zobowiązał się otwierać i zamykać pomieszczenie klubowe, gdy przyjdą malarze. Kłopotliwa cisza i dopiero po długiej chwili zgłasza się Były. A tuż przed wyjściem naczelnika młodzi z naganą w głosie mówili o blisko rocznym zamknięciu klubu.

— „Co można robić w wol-

ne popołudnie? Telewizja, książka, spacer wzdłuż ulicy? Klub, jeżeli nic się w nim nie dzieje — nie jest ciekawy, ale przynajmniej można posiedzieć i porozmawiać. To skandal, aby do wyremontowania, a właściwie tylko pomalowania, trzeba było tyle czasu”.

Na stole leżą różne dokumenty. Między innymi broszura wydana przez Zarząd Główny pt. „Kurenda”. Partytura repertuarowa kół ZMW. Czy wiedzą, co to jest? W odpowiedzi lekceważący prześmiewczy wymowne „E, tam”.

— „Leży kilka miesięcy, ale nikt do niej nawet nie zajrzał” — twierdzi Były. Możliwe, że nie należy ona do najlepszych, najbardziej przystających do współczesnego życia na wsi. Ale aby się o tym przekonać wypadłoby chociaż do niej zajrzeć.

Nie opowiem dalszych szczegółów spotkania ponieważ ich nie było. Było za to czegoś gorzko brak. Brak programu długofalowego. Jeżeli taki jest w województwie rolnictwem stojącym to chyba tylko w Zarządzie Wojewódzkim. Moi rozmówcy nie znają go. Słaby kontakt z innymi kołami ZMW — status „rodzinka” w ruchu młodzieżowym na terenie gminy — wymaga współpracy z różnymi regionami województwa, czego nie ma. Znikome — podobno żadne — zainteresowanie kołem ze strony administracji terenowej, organizacji politycznych i społecznych. Inna sprawa, że młodzi ZMW-owcy nie próbują także wyjść na zewnątrz, poza własne grono. Z jednej strony twierdzą, że na

wsł nie ma podziału pod względem przynależności organizacyjnej, że do działania zbędna jest formalna etykieta. Z drugiej czują jakby ich żal, że nikt się nimi nie interesuje.

Samodzielność działania. O potrzebie zgodności znaczenia tego określenia z faktami mówili przed kilkunastoma miesiącami. Dziś pozostawieni własnej inicjatywie nadal nie bardzo potrafili powiedzieć czego konkretnie pragną. Praca, nauka, gospodarka — kraj, poza którym nie widzą możliwości „wyżywania się”. O wszem robią to i owo — w opinii wojewódzkich władz związku uchodzą zapewne za jedno z najlepszych kół. Podobnie jak poprzednio oceniano ich w ZSMP. Najczęściej jednak robią niewiele — a jeżeli już, to przeważnie o charakterze rozrywkowym. Przypomina mi to jednak skok wzwyż bez poprzeczki. Raz wyżej raz niżej, nigdy jednak nie wiadomo na jaką wysokość. Wysiłek niby ten sam, ale satysfakcja zanikoma.

Nie wymieniam nazwy wsi. Nie jest ona najważniejsza, podobno, o ile nie większy, marazm zwany też tumiwizmem charakteryzuje większość środowiska młodzieżowego. Niezależnie od nazwy organizacji. Czy jest sposób przewyciężenia zjawiska? Z pewnością jest, ale jaki — nie potrafię napisać. Każde kolo, jeżeli myśli realnie i nie liczy na cud, musi samo znaleźć odpowiedź.

HALINA KNEBEL

Bezdomnych w dom przyjmą

Dokończenie ze str. 1

„Ruchu” pod samym nosem, sklep spożywczy nieopodal. A łóżko, jakie wygodne. Ze metalowe ze sprężynami? Takie najzdrowsze; z takim siennikami, co jeszcze łąką pachną.

Upadłem na duchu, lecz nie na tyle, by zaprzestać wertowania rubryki ogłoszeń drobnych. Cierpliwi bywają wynagradzani, więc i mnie trafiło się jak ślepej kurze ziarno. Omal nie zwirowałem — dwa ogłoszenia w jednej gazecie: „Pokój małżeństwu wynajmę”, „M-2 małżeństwu wynajmę”.

W tajemnicy przed żoną — ta już nie ma nadziei — pojechałem w oba miejsca. Nawet niedaleko siebie. Na Jezycach. W pierwszym powitał mnie elegancki pan, pokazał pokój. Nawet ładny, tyle że pusty. Co mi tam — myślę sobie. To jakoś załatwimy — choćby na materacach, byle u siebie. Gospodarz tłumaczy, że z kuchenki można korzystać, kapać się w łazience można dowoli. Nie bardzo wierzę i ze strachem, początkowo po

cichu, później głośniejsz powtarzam, że chciałbym zamieszkać tu z żoną. Pan uśmiecha się dobitnie. Kiwa głową. Pyta o zdrowie małżonki, niemal cieszy się z mojego ożenku. Szczępię się ukradkiem. Całkiem niepotrzebnie sprawiałem sobie ból — a gospodarz sam zadbał o moje przebudzenie rzucając od niechcenia cenę — 10 000 złotych miesięcznie. Wycofałem się ran kiem — oszołomiony. Stwierdziłem też, że dobrze, że przyjadę z żoną. Pan odprowadzając mnie do drzwi zrozumiał, że nie jestem dla niego partnerem i obrzucił mnie lekceważącym spojrzeniem.

Marzy mi się jeszcze M-2 więc zaglądam pod drugi adres. Od drzwi już niemal krzyczę — „He?” Tym razem nie zaskakujące. Cena taka sama. Jakby się umówili. Mimo to wchodzi i dowiaduje się, że zapłacić mam z góry za rok, a po tym czasie muszę się wyprowadzić. Acha, i jeszcze muszą mieć gwarancję że po roku opuszczę mieszkanie. Dla nich ta gwarancja jest 250 000 zł.

Myślę, czy by nie wrócić w poprzednie miejsce. Ja zarabiam 10 000 zł, żona 8 000 zł. Nawet by jeszcze trochę zostało. No tak, ale prąd, gaz. Czyli nic by nie zostało. Trzeba by więc najpierw odzwyczaić się od jedzenia, na to potrzeba trochę czasu. Nim pierwszy odwykli od pożywienia, ktoś by nam sprzątnął pokój sprzed nosa. Czyli — nie warto.

Zajrzałem jeszcze do biura kwater studenckich. Może oni pomogą? Nie pomogli. Sami nie mają pokoi dla wszystkich potrzebujących studentów. Jakbym nie miał własnych kłopotów poczęstowali mnie opowiadką o ich problemach. Przyjmują oferty tylko do 2 500 zł za łóżko. Przekazują adres studentowi, ten idzie i dowiaduje się na miejscu, że kosztować go będzie łożeczko w zatłoczonym pokoju, wnęce, niszy, przerobionej spiżarni, skrytce — 3 000 zł. Kapać się nie wolno, myć tylko w zimnej wodzie i nie chlapać. Gotować zabraniają. Żadnych odwiedzin. Światło gasić o godzinie 22, palić w

piecu co drugi dzień. Ale za to bliżutko do baru mlecznego.

Więc dalej z żoną mieszkamy osobno. W ogłoszenia już nie wierzę. Próbowałem zamieścić jeszcze kilka razy sam ogłoszenie, że małżeństwo poszukuje pokoju. Ofert nie otrzymałem. Teraz moja nadzieja w strychach. Sni mi się taki po nocach, przytulny, urządony własnym sumptem (żona mi mówi, że z tym urządzeniem to też jestem skrajnym optymistą, ale co tam). Pokoik, miejsce na kuchenkę, umywalka. Niby nie ale najpierw muszę znaleźć coś odpowiedniego. Łażę więc po ostatnich piętrach miejskich kamienic. W niektórych dzielnicach dozorca patrzy na mnie podejrzliwym okiem. Ale jak znaleźć, to będzie chociaż bliżej nieba. Może Bóg dostrzeże mą niedolę i weźmie nas z żoną do domu swego? Pod wspólny dach. Jak na razie Bóg patrząc na to marszczy brwi, a aniołowie czyszczą mu spluwę.

LESZEK GRACZ

DZIESIECIU GNIEWNYCH

Gdziekolwiek jesteś, panie

drogę postępowania. Ludziom się wydaje, że największą korzyścią dla ich spraw będzie „uderzenie od góry” — najlepiej więc od prezydenta, wojewody, a może administracja swoim działaniem sama do tego doprowadziła?

— Czy pomnik Armii Poznań był nam potrzebny dzisiaj, w czasach kryzysu gospodarczego?

— To jest nasz dług wobec historii, 18 lat trwały starania kombatanów o ten pomnik. Trzeba było widzieć tych wiarusów na odsłonięciu pomnika — wrzuszonych do głębi serca.

— A ile on nas kosztował?

— Pomnik nie jest jeszcze do końca rozliczony. Wiadomo wszystkim, że część kosztów pokryto z zebranych datków. Oczywiście, nie całość kosztów — część dopłaciło państwo. Ścisłe rozliczenie ma Społeczny Komitet Budowy Pomnika. My — jako Urząd Miejski

przyjmujemy pod swoją opiekę pomnik i wówczas będąc znaj może nie tyle koszty jego postawienia, ile aktualną wartość. A co do kosztów, to sądzę, że społeczeństwo i o tym się dowie. Ale powtarzam po raz drugi: krwi przelanej przez żołnierzy Armii Poznań nie mierzymy złotówkami.

— Wiele, choć cicho, mówi się o bojkocie telewizji przez polskich aktorów. Czy uczestniczą w nim również poznańscy aktorzy?

— Z tego co wiem poznańskie środowisko aktorskie solidaryzuje się jak dotąd z aktorami warszawskimi i żaden poznański aktor nie wystąpił w programie telewizyjnym od czasu ogłoszenia tego cichego bojkotu.

— Jak długo czeka się na mieszkanie w Poznaniu?

— Około 80 000 wniosków czeka na pozytywne rozpatrzenie w spółdzielniach mieszkaniowych, aktualnie w Poznaniu budujemy 4 000 mieszkań rocznie. Wynikałoby z tego, że okres oczekiwania wynosi 20 lat, lecz praktycznie jest to 12—13-letni okres, bo część oczekujących posiada przecież mieszkanie, wielu chce sobie warunki polepszyć, jeszcze inni się usamodzielniłi itp. Myślę, że najbliższe lata zmienią na lepsze sytuację tej dziedziny. Musimy budować więcej.

— Perspektywa otrzymania mieszkania dopiero w wieku emerytalnym zmusiła ludzi do schwycenia za kielnię i łopatkę. Czy również w Poznaniu?

— Z tym odniesieniem do wieku emerytalnego — to mała przesada. Ale sprawa jest

bardzo ważna. Patronują jej zakłady pracy, którym oddano już niektóre tereny budowlane i tam ich przedstawiciele wnoszą własnymi siłami mieszkania dla siebie. Pracownicy „Cegielskiego” budują przy ulicy Opolskiej, a studenci rozpoczęli budowę przy ulicy Hoziej. Nie jest to droga usłana różami.

— A z czego i za co będą budowali?

— Urząd oddaje w ręce użytkowników działkę budowlaną, oddaje do ich dyspozycji architekta, a o resztę muszą się zainteresowani martwić sami. W tym, niestety, również o materiały i środki finansowe. Zakłady pracy wielu swoim pracownikom pomagają, a w każdym razie powinny.

Młodzież dość często lamentuje, że o swoich problemach nie ma z kim porozmawiać. Uważamy, że to nieprawda. Podjęliśmy się więc organizacji spotkań młodych z tymi, których sobie na rozmówców wybrali. Zdajemy sobie sprawę, iż, oprócz pytań niżej przedstawionych, młodzież interesuje wiele innych spraw, często może nawet ważniejszych. Tutaj przedstawiamy najciekawsze z tych pytań, które prezydent Poznania Andrzej Witulski otrzymał od zaproszonych przez nas „Dziesięciu gniewnych”; tym razem byli to: szwaczka, referentka i technik z „Modeny”, nauczyciel szkoły podstawowej, pracownik ośrodka badawczo-kontrolnego, robotnicy z HCP i „Wiepofamy”. Uczestniczący w spotkaniu red. Leszek Gracz przygotował najciekawsze fragmenty do druku.

— Czy można dostać się do prezydenta w godzinach przyjmowania przez niego interesantów?

— Nigdy nie próbowałem dostać się do siebie, ale przypuszczam, że nie tak trudno. W co drugi poniedziałek przyjmuję najmniej około 25—35 osób, a ponadto uruchomiłem kontakty telefoniczne, podając w prasie numer mojego telefonu. Mam poza tym z szeregiem moich rozmówców kontakt osobisty.

— O co najczęściej suszą panu głowę?

— W 90 procentach są to sprawy mieszkaniowe. Poza nimi sprawy naprawde różne. Obywatel telefonuje lub pi-

szę, bym przyszedł zobaczyć balagan na dworcu lub innym obszarze miasta, drugi, że sąsiad podjął w mieszkaniu „zakazaną produkcję”, garażuje na trawniku itp. Oczywiście, są też sygnały bardziej ogólne i poruszające ważniejsze problemy.

— I tym wszystkim sam się pan zajmuje — oddzwaniając, odpisując, odwiedzając?

— Przecież jest to fizycznie niemożliwe. Doba ma tylko 24 godziny. Większość spraw przekazuje do odpowiednich wydziałów Urzędu Miejskiego i oczekuję od podwładnych informacji o wynikach ich działania. Odwrócono bowiem w ostatnich latach urzędową

Jak się to robi?

Wytańczyć kawałek kultury

— mówi Janusz Leśniewski, dyrektor Wielkopolskiego Ośrodka Tanecznego

— Jest pan nie tylko etatowym pracownikiem instytucji kulturalnej, ale również działaczem społecznym: przewodniczącym Komisji Kultury Komitetu Dzielnicy PZPR na Jeźcach oraz wiceprezesem Federacji Stowarzyszeń i Klubów Tanecznych w Polsce. Jak zatem w opinii działacza przedstawia się sytuacja w dziedzinie szeroko pojętej kultury tu i teraz?

— Obecna sytuacja społeczno-polityczna i gospodarcza w kraju w niewielkim zaledwie stopniu wpłynęła na działalność różnych instytucji kulturalnych. Jednak wiele osób swój marazm, wygodnictwo czy nawet zwyczajnie lenistwo tłumaczy właśnie tą sytuacją. Bezradnie rozkładają ręce, zdając się nie mówić — tu już nic nie można zrobić. Dzisiaj mszczą się przede wszystkim wieloletnie zaniedbania. Oprócz właściwie przygotowanych do działalności kulturalnej ludzi, do czego jeszcze wrócić, ważną rolę odgrywa wyposażenie różnych placówek. A brakuje niemal wszystkiego: od dobrego sprzętu odtwarzającego czy nagłaśniającego, po farby i brystol. Czas, że do domu kultury czy klubu ściągają młodych ludzi telewizor kolorowy już minął bezpowrotnie. Dzisiaj nawet nie brak pieniędzy, ale brak tych artykułów na rynku uniemożliwia ich nabycie. Uważam bowiem, że każdy kierownik placówki kulturalnej, który ruszy tylko głową, może zdobyć potrzebne fundusze. Nie wybrań, ale zarobić.

— Wracamy więc do ludzi pracujących w kulturze. Tutaj sytuacja jest chyba najgorsza?

— Kadra, zwłaszcza kierownicza, pozostawia wiele do życzenia. Zły jest przede wszystkim

system szkolenia. Działacza wprowadzić się nie uczy na żadnym uniwersytecie, bo nim trzeba się urodzić, ale oprócz działaczy są również pracownicy. Tymczasem do instytucji kulturalnych idą najczęściej ci, którzy albo nigdzie nie znaleźli pracy, albo myślą że tam się nie lub prawie nie robi. Stanowczo za nisko umieszczona jest poprzeczka, zwłaszcza w małych miejscowościach: w gminnych ośrodkach i zakładach domach kultury. Wiąże się to jednak z placami, systemem ocen, warunkami pracy. Działacze czy pracownicy kultury zatrudnionych w mniej renomowanych instytucjach nie dostrzegają się na ogół podczas przyznawania wyróżnień.

— Przemawia przez pana pewnie gorycz. Ale tak już jest, że medale dostają nie ci co walczą, lecz ci, których widział dowódca.

— Czy jednak tak musi być? To po prostu zniechęca do pracy wielu autentycznych działaczy. A mówi się tyle o integralnym współdziałaniu kultury z procesem wychowawczym. Wszak ma to właśnie miejsce na ogół w małych placówkach. Nawet dobrze zorganizowana dyskoteka może wychowywać. Naprawdę! My wiemy, że ludzie młodzi są tacy tacy sa, ale korzystając choćby z tej dyskoteki muszą się podporządkować regułom obowiązującym ludzi kulturalnych. Ale na to też trzeba zwracać uwagę, a nie tylko inkasować pieniądze za wstęp. Inna sprawa: domy kultury rozlicza się ze zorganizowanych imprez: im więcej, tym lepsza placówka. A czy ktoś sprawdził, jak przedstawia się przygotowanie do czynnego uczestnictwa w życiu kulturalnym młodych

ludzi korzystających nawet systematycznie z usług tego czy innego domu kultury? Zły jest bowiem system pracowni. Ktoś kto uczęszcza do plastycznej botaniki wprowadzić namalować widoczek, ale gubi się na wystawie ten zaś z pracowni teatralnej w miarę poprawnie zadeklamuje wierszyk, ale nie wie zrozumiem w teatrze ze sztuki współczesnej.

— Jest pan przewodniczącym Komisji Kultury KD PZPR na poznańskich Jeźcach. To pewnie pustynia kulturalna?

— Wyłączając Teatr Nowy jako jedyną placówkę profesjonalną, działają tu także małe kluby Spółdzielni Mieszkaniowej „Jeźce”. Nie w pełni są jeszcze wyposażone, ale robią coś pozytywnego. Reaktywowana Komisja Kultury Komitetu Dzielnicy podjęła się jednak trudnego zadania wyznaczenia Jeżyc z mapy pustyni kulturalnej jak to pan nazwał. Na razie przeprowadzamy inwentaryzację stanu posiadania, walczymy o środki finansowe, a członkowie Komitetu Dzielnicy wraz z egzekutywą i sekretariatem sprawę traktują bardzo poważnie. Musimy dotrzeć zwłaszcza do środowiska robotniczego, uczulić dyrektorów takich zakładów jak „Wienofama”. „Powogaz” czy „Wiefamel” że sprawy kultury nierozłącznie wiążą się z produkcyjnymi. Ale długa jeszcze droga przed nami.

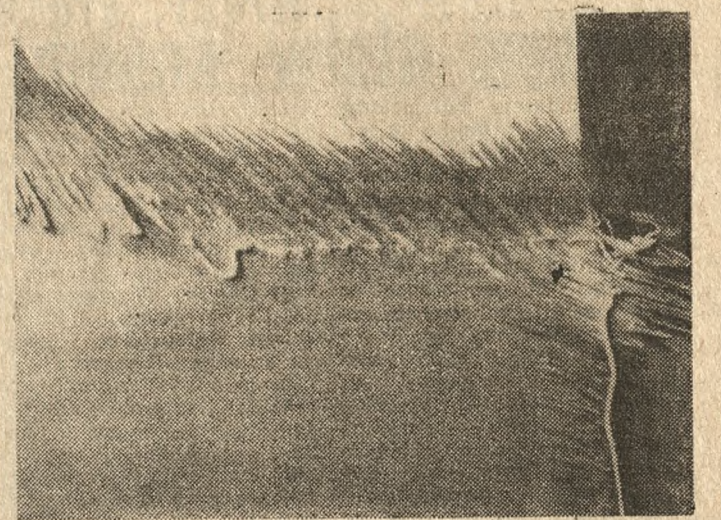
— Pan jest w tej szczególnej sytuacji, że jako dyrektor placówki kulturalnej może w praktyce realizować własne pomysły działalności.

— Wielkopolski Ośrodek Taneczny istnieje już pięć lat i wiele z tego, o czym mówiliśmy staramy się rzeczywiście wpro-

wadzać do praktycznej działalności naszej placówki. Nie powiem, że wszystko nam się udało tak, jak zamierzaliśmy. Szukamy nadal najlepszych rozwiązań, łączących zwłaszcza tak specyficzną dziedzinę kultury, jak taniec, z szeroko pojętym procesem wychowawczym. Nawiazaliśmy na przykład kontakty z niektórymi szkołami podstawowymi, gdzie nasi instruktorzy na lekcjach wychowania fizycznego poprzez pokazy tańca zachęcają młodzież do uczestnictwa w zespołach tanecznych. Na działalność merytoryczną musimy jednak zarabiać sami — poprzez choćby organizację kursów tańca lecz i tu opłatę za taki kurs obniżyliśmy o 50 złotych od osoby w porównaniu z rokiem ubiegłym. Pieniądze potrzebne są nie tylko na utrzymanie naszej placówki, ale też na finansowanie klubów tanecznych czy naszego zespołu rockowego „Sprężenie zwrotne” a także na nasz młodzieżowy klub dyskusyjny „Politykus” czy choćby klub brydżowy. Zajmujemy się bowiem nie tylko tańcem. Chcemy też i to już w najbliższym czasie, wyjść poza Poznań do małych ośrodków gminnych kontynuując działania podejmowane wcześniej. Zamierzamy również nawiązać ścisłą współpracę z ZSMP, między innymi również w dziedzinie wykształcenia kadry kulturalnej dla kół zakładowych tej organizacji młodzieżowej. Kolom tym brakuje bowiem pracowników i rzutkich animatorów życia kulturalnego. W każdym razie nastawiamy się w działalności merytorycznej przede wszystkim na pracę z młodzieżą.

Rozmawiał
LESZEK ADAMOZEWSKI

MŁODA PLASTYKA



Anna Kozłowska-Agacińska urodziła się w Sremie. W 1976 roku uzyskała dyplom Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu w pracowni malarstwa prof. Mariana Szymańdy. Przewodzi pracownię malarstwa i rysunku w poznańskim Pałacu Kultury. Bierze udział w wystawach. Uprawia malarstwo i rysunek. W katalogu do swojej wystawy w Galerii Nowej Anna Kozłowska-Agacińska napisała: „Droga moich poszukiwań w znalezieniu najadekwatniejszych form wypowiedzi plastycznej prowadzi do ujęcia syntetycznego, które pozwała mi przekazać moje myśli, moje emocje, moje wewnętrzne napięcia i rozterki”. (bran)

Fot. — R. Królak

Nie będzie zbiorowego harakiri

Aneks do indeksu

Tyle mnie już nastraszo, że powoli przestaję się bać. Ale usiłowania trwają nadal. Ostatnio spać mi nie daje nowy system stypendialny dla studentów. Wrzawy przy nim tyle jak by nie było innych kłopotów. „Studentów — mówią w telewizorze — to już teraz będą jedynie głodować”. Niewielkie łaknienie, jak wiem, wyostroża umysł, co każdemu studentowi przydać się może. „Wielu z nich nie ukończy studiów z braku zabezpieczenia materialnego — podszepniają niektórzy, a ja myślę, że może to i lepiej? „Jak tak dalej pójdzie — ostrzegają inni, to studenci wyjdą na ulicę”. To już brzmi groźnie i takich zapowiedzi lekceważyć nie można. Można wszakże powiedzieć, iż na takich ulicach wszystko zdarzyć się może prócz tego, że będą tam agencje PKO, dopisujące studentom premie do książeczek oszczędnościowych.

Jest to fakt, którego podważyć prawie nie sposób. Podobnie jak i tego, że w Polsce skończyły się luksusy, w tym luksus studiowania również. O tym naszym polskim kryzysie głośno się bez końca lecz dopiero takie incydenty jak wprowadzenie nowego systemu stypendialnego uzmysławiają niektórym naocznie, że dotknęli on wszystkich, więc studentów też.

Na podarowane studia przestało nas po prostu stać. Nie tylko zresztą nas. Przeglądam i czytam wiele doniesień ze świata. Tam też potrzebują ludzi wykształconych, wybitnych fachowców i specjalistów, tam władzy też zależy na tym, by była kochana. Ale nie wszystkim tam prezentuje się beztrudnie studiowanie. Tam rodzina, która chce mieć studenta, musi się solidnie naszarpać i nagłować — jak mieć jednocześnie mieszkanie, meble, papu, samochód i na dodatek studenta. Jest to w sumie sytuacja zdrowa. My moglibyśmy przy tej sposobności też przestać chorować. Sami studenci i ich rodziny będą wreszcie miały ową „Amerykę”, coś, czego wielu pragnie, choć Ameryka bywa różna.

Cale to moje kazanie brzmi tak sobie, ale pisze mi się je łatwo. Dlatego, że mam do tego prawo. Tym prawem jest wspomnienie mego studiowania. Przebiegało ono wówczas, gdy nasz utracysz był jeszcze w Katowicach, a Polska była sierniżna, choć bardziej realistyczna niż później. O tym jak studiowałem wiedzą najlepiej ci, którzy mnie uczyli. O tym jak wówczas żyłem mogę powiedzieć sam. Sprawa wymaga, by były to niemal zwierzenia.

Podręczniki i trochę lepszej odzieży kupiłem za to, co zarobiłem w miesiąc wakacji w poznańskich Księgarni Naukowej. Zaczę jej kierownik może to potwierdzić, czym zyska sobie moją wdzięczność, a ja jako taką wiarygodność. A potem robiłem różne rzeczy: piekłem na MTP szaszłyki, sprzedawałem lody, pracowałem w Międzynarodowym Hotelu Studenckim, wymieniając szare na złote, jeździłem z komornikami taszcząc to co zarekwirowali, nosiłem jakieś paki w magazynach, pisałem do różnych gazet, które to kupowały. Miałem też trzech przyjaciół. Pracowaliśmy w systemie cztero — brygada. Ja, jako nie nadający się do poważnej roboty — chodziłem na zajęcia, a wieczorami ich „uczyłem”. Oni jeździli jako śmieciarze w MPO, a jeden z nich wygrał potem ogólnopolski konkurs pod tytułem „Moja pierwsza praca wakacyjna”. Inny, tu koło Okraglaka, gdzie kiedyś był „Jubiler”, kupił mi zegarek, choć wiedział, że mu nigdy tych pieniędzy nie oddam. Wtedy nie gadało się tyle co teraz o solidarności. Ona po prostu była. Wszyscy ukończyliśmy studia. Dyplomy mamy niezłe. Każdy — o sobie nie mówię — jest cenionym i przydatnym w życiu człowiekiem.

Może przez te kilkanaście lat czasy się tak zmieniły, że to co opowiadam — to dla obecnych studentów niedorzeczny anachronizm. Ja pokazuję jeden ze sposobów, w których student nie musi płakać, zlorzeć i grozić, a przy których pomocy może się urządzić, dobrze uczyć, skończyć studia i dziękować Bogu. Może, niczego nie musi. Nie być nie musi. Nie musi być przecież tak żeby robić rwetes tam, gdzie go być nie powinno, by śpiewać cienko o swej dorosłości, partnerstwie, obowiązkach — a gdy przyjdzie to sprawdzić — po prostu oblać.

Mnie nowy system stypendialny nie dotyczy. Może mi więc łatwiej mówić o nim bez hysterii. Ale ja widzę w nim coś, co mocno wydaje mi się potrzebne. To, że przez studia przejdą ci najzdolniejsi, najpracowitsi, najzaradniejsi i najtwardsi. I że to będzie dodatkowy walor dyplomu, którego zdobycia wszystkim życze.

Spotkałam ją na korytarzu Akademii Ekonomicznej. Czarne, kręcone włosy, ostre południowe rysy i trochę zagubiona w obcym budynku. Kiedy uśladam obok niej i rozpoczął rozmowę okazało się, że jest Portugalką, a w Poznaniu odbywała praktykę. Została na nią skierowana przez Międzynarodowy Związek Studentów Nauk Ekonomicznych i Handlowych (AISEC), bowiem Maria Odete Alves studiuje właśnie ekonomię na uniwersytecie w Lizbonie.

— Dlaczego organizacja skierowała Cię na praktykę do Polski?

— Na praktykę AISEC-owska można pojechać dopiero po III roku studiów to znaczy wtedy, gdy student już się orientuje w zagadnieniach ekonomicznych. Ponadto trzeba zdać egzamin z języka obcego — w moim przypadku z francuskiego lub angielskiego — oraz w specjalnie wypełnionym formularzu zaznaczyć, jakie przedmioty ekonomiczne już się przerobiło i dziedzinę, którą student szczególnie się interesuje. Ostateczny wybór, jeśli chodzi o państwa, mia-

łam między Polską i Szwajcarią. Wybrałam Polskę, gdyż była dla mnie zupełnie obcy kraj, podczas, gdy Szwajcarię już znałam.

— Gdzie odbywałaś swoją praktykę?

— Prawie półtora miesiąca pracowałam w zarządzie Międzynarodowych Targów Poznańskich. W tym czasie poznałam strukturę organizacyjną Targów, działalność poszczególnych wydziałów oraz praktyczną organizację handlu krajowego na podstawie wrześniowej ekspozycji targowej.

— Jesteś studentką ostatniego roku. Jak patrzysz na studia z perspektywy pięciu lat?

— Wydaje mi się, że najistotniejszy jest fakt, iż w Portugalii nie każdy może sobie pozwolić na studiowanie. Należy przy tym pa-

niętać, że nie chodzi tu o to, że studia są płatne — ja płacię dwa razy w roku sumy dostownie symboliczne. Najdroższe są książki i koszty utrzymania. Zdarza się tak, że ktoś zaczyna studia i przerywa je po pierwszym roku, gdyż rodzina nie jest w stanie go utrzymać. Gdy moi rówieśnicy już pra-

cuja i zarabiają, ja muszę liczyć głównie na pomoc rodziców.

— Czy organizacja studiów w Portugalii wygląda tak samo jak w Polsce?

— W Portugalii jest zupełnie inny system szkolnictwa. Istnieją bowiem 4 klasy szkoły podstawowej i 8 klas szkoły średniej, przy czym obowiązkowa nauka trwa do ukończenia 14 lat a nie konkretnej klasy. Podział zajęć w tych 8 latach szkoły średniej stałe ulega

zmianom. W tej chwili jest tak, że ósmy rok jest rokiem przygotowującym na studia. Kończy się on egzaminami i od ich wyniku zależy przyjęcie na studia. Nie ma żadnych egzaminów wstępnych obowiązujących, jak gdyby konkurs świadectw. Rok akademicki rozpoczyna się w połowie października i trwa do końca czerwca. Licząc jest miesiącem przeznaczonym na zdawanie egzaminów. Również system ocen mamy inny niż w Polsce — obowiązuje skala od 0 do 20, tak jak np. we Francji.

— Studia w zasadzie trwają 5 lat, ale można je przerwać po III roku — wtedy otrzymuje się tytuł „bachelor”. Po pięciu latach uzyskuje się licencję ekonomisty uprawniającą do pracy w tym zawodzie. Jeśli ktoś chce się dalej uczyć, to może. Taka nauka trwa wtedy 2, 3 lub 4 lata i kończy się napisaniem i obroną pracy doktorskiej. Ale tak właściwie to utarło się zwyczajowo mówić „doktor” do tych, którzy ukończyli studia po pięciu latach.

Rozmawiała
ANNA PLENZLER

Studia po portugalsku

— Duże zakłady pracy, lub związki studencki. A co dla pozostałych?

— Pozostaje budownictwo indywidualne. Na sesji MRN mówiłem o wielu propozy-

— leca składa się z jednego splotka, jednego kaftanika, jednej koszulki i całej reszty — tylko po jednej sztuce?

— Są to decyzje zespołu do spraw reglamentacji. Zdaję so-

sek wicewojewodzie poznańskiemu. Poznań jest bowiem stolicą województwa i wszystkie rozwiązania muszą dotyczyć całego obszaru.

— To może przy okazji jeszcze coś: ustanowić jeden taki sklep, w którym odbywałaby się sprzedaż wszystkich (lub chociaż większość) towarów na potrzeby dla młodych małżeństw i na talony za surowce włóczne.

— Po pierwsze — młode małżeństwa i ich przywileje nie mogą denerwować całego społeczeństwa. Każdy z nas był bowiem kiedyś w podobnej sytuacji. Po drugie — na udzielony kredyt w wysokości 6 900 000 zł zrealizowano 3 500 000 zł — to nie tylko garstka wybranych. Po trzecie — również w sprawie talonów za surowce włóczne — nie o garstkę ludzi chodzi. Są to tysiące ton makułatury i miliony złotych. Po czwarte — do końca tego roku przedstawimy do konsultacji zmodyfikowany projekt sprzedaży towarów dla młodych małżeństw i towarów za surowce włóczne, uwzględniający wszystkie uwagi w tej kwestii do nas kie-

bie sprawę, że żadnemu dziecku w pełni to nie wystarczy, lecz trzeba, wziąć również pod uwagę aktualne możliwości wytwórcze przemysłu i dostawy na rynek. Przede wszystkim musimy zapewnić wszystkim, by swe przydziały kartkowe mogli zrealizować bez kłopotu i w określonym czasie. Jeśli coś komuś przyznano, to musi ono to otrzymać. Nie można spowodować, by część uprawnionych pozbawiona była należnego zakupu. Ewentualne nadwyżki kierowane są do wolnej sprzedaży.

— A może byłoby jakimś wyjściem wprowadzenie sprzedaży odzieży dziecięcej również na książeczki zdrowia dziecka.

— Może i to jest jakieś rozwiązanie. Zgłoszę ten wnio-

prezydencie

— Do poznańskich zakładów pracy docierają niekiedy pozakartkowe przydziały różnych towarów. Dlaczego system rozprowadzania preferuje duże zakłady pracy?

— Środowiska ludzkie i wykonywane zawody są różnorodne — o większej i mniejszej uciążliwości pracy. Niektóre zakłady należy w związku z tym preferować. Szczególnie zakłady wielozmianowe, o dużych skupiskach klasy robotniczej. Powiem więcej, chcielibyśmy preferować w miarę naszych możliwości również środowiska inwalidzkie oraz osoby niepełnosprawne, których pokazną grupę mamy w Poznaniu.

— Kto wymyślił, że przydziały wyprawki niemow-

Kura nazywa się. prze-
mysł fonograficzny lub
w uproszczeniu, płyto-
wy. Ze znoś złote jaja —
wiadomo. Ilez to firm i osób
zdobyto na czarnych kra-
kach milionowe fortuny! A u
nas od lat jakby nie bardzo
w to wierzą. Rodzimy
potentat dyskopograficzny —
„Polskie Nagrania” — w pier-
wszym półroczu 1982 uzyskał
96 milionów złotych zysku.
Chociaż wysłużona warszaw-
ska tłocznia płyt (właściwie
jedyna w kraju) pamięta cza-
sy króla Cwiczecka, zaś cała
polska fonografia bardziej
przypomina manufakturę niż
przemysł. A wytłoczono w
tym czasie tylko niewiele po-
nad dwa miliony grających
krążków. Rynek uchłonałby i
dziesięciokrotnie więcej! Je-
den tylko tytuł — longplay
grupy „Perfect” — handel za
mówił w nakładzie 650 000 eg-
zemplarzy. Rzecz jasna tyle
nie otrzyma: wyprodukowano
400 000 tych płyt, co i tak sta-
nowi swoisty rekord.

Dlaczego polska fonografia
pozostaje — chociażby w ze-
stawieniu z podobną dziedzi-
ną w krajach ościennych —
tak mocno zacofana i niedoin-
westowana? Jej wytwory są
przecież także dobrami kultu-
ralnymi; dla muzyki tym,
czym książki dla literatury. I
jeśli od iluś tam lat musimy
się wstydić jednego z końco-

Kraś Struny słogno tręce

Krąży, krąży złoty pieniądz

wych miejsc w Europie pod
względem liczby wydawnictw
książkowych na statystyczne-
go mieszkańca, to przypusz-
czam, że w produkcji płyt (je-
den krążek rocznie przypada na
ponad siedmiu Polaków!) wy-
przedzają nas przynajmniej na
Starym Kontynencie — wszy-
scy. Bardzo to smutne, iż
kraj Chopina, Szymanowskie-
go, Pendereckiego, Paderew-
skiego, Rubinsteina, Szeryn-
ga a także Demarczyk czy
„Marka i Wacka” oraz innych
centurionów w świecie kompo-
zytorów i wykonawców, posia-
dający światowej renomy res-
polsy i solistów, jawi się jako
fonograficzny Kopeuszek Euro-
py.

Wystarczy spojrzeć w katalo-
gi NRD-owskich: „Eternu”
lub „Amigi”, czechosłowac-
kich: „Supraphonu”, „Opusu”,
„Phantonu” czy węgierskich:
„Hungarotonu”, „Pepity” lub
zajść do sklepów warszaw-
skich ośrodków kultury tych
krajów, aby potwierdzić tę
jakże przykrą opinię. Chopi-
na i Szymanowskiego, ale rów-
nież Kisielewskiego - Toma-
szewskiego i wykonawców roc-

kowych wydają na płytach
szybciej i lepiej niż. A my,
owszem nagrywamy, może ni-
wej i niemało, jednakże z
braku „mocy przerobowych”
przede wszystkim na półki
magazynów, czekając na wno-
szone od iluś to już lat nowa
tłocznie. A niezarobione na
niewydanych płytach pienią-
ki „uciekają” z każdym dniem,
miesiącem, rokiem coraz da-
lej i dalej...

Wiele wskazuje na to, że
po latach bardzo wolnego się
kręcenia, płyta pod tytułem:
„Polska fonografia” jakby
przyspieszyła swe obroty. W
półowie obecnego dziesięciole-
cia, jak dobrze pójdzie, ru-
szysz ją oczekiwana tłocznia,
mogąca dawać rocznie około
30 milionów longplayów do-
brej jakości.

Na razie zasady reformy
ekonomicznej już trochę na-
kłada odporną dotychczas skó-
rę wytwórni fonograficznych.
Wszak zaobserwować można
ożywienie i pewne sympto-
my... konkurencyjności, jed-
nej z głównych cech tej bran-
ży. Poszczególne rodzime fir-

my starają się „przejść” i
siebie co bardziej atrakcyj-
nych artystów, zabiegają (i
kilku przypadkach z dobrym
skutkiem — np. album D-
marchy czy płyta Sipińskiego
o tłoczenie krążków w Cze-
chosłowacji i ZSRR. Choć nie
potykają na wiele przeszkód
— od technicznych poczyni-
jąc, a na prawnych (kompro-
mitując niskie stawki honor-
rariów dla wykonawców i
twórców) — kończąc, polski
kolekcjonerzy płyt — wlasz-
czy z „muzyką poważną” —
odezuli w tym roku pewną po-
prawę. Wszak pojawiło się
prawie 120 tytułów, w czym
po raz pierwszy od niepamię-
tych czasów dwie trzecie sta-
nowią nagrania z „poważną”
muzyką. Jednak zasadne jest
wciąż pytanie jednego z pu-
blicystów: „Czy Szymanow-
ski może wygrać z Holdysem (ti-
derem modnego zespołu „Per-
fect”)”? Bo pozycję z twó-
rczością autora „Harnasów”
przewidziano wprawdzie wię-
cej niż wspomnianej grupy roc-
kowej, ale muzykę „Perfectu”
wydano w 400 000 egzempla-
rzy, zaś w przypadku Szymo-
nowskiego są kłopoty z wy-
drukowaniem... 8000 kopert.

A klientela — zwolennicy
jednego i drugiego gatunku
muzyki — czeka wciąż na
więcej. Jak długo jeszcze o-
czekiwania te będą daremne?

WOJCIECH NENTWIG

Ręka
która
może
zabić



Karate znaczy „gołe ręce” i nie ma nic wspólnego z ju-
do i jiu-jitsu. Narodziło się w Chinach, ale jego roz-
wój związany jest nierozłącznie z wyspą Okinawa.
Dopiero w pierwszych latach naszego stulecia współczesna
Japonia poznała technikę karate, znaną bardziej pod na-
zwą Okinawa-te (repe Okinawy), która do tej pory była
otoczona wielką tajemnicą.

Legenda głosi, że za dynastii Liang mnich hinduski
Bodhi Dharma zawędrował do Chin i tam zaczął głosić
nauki Buddy. W klasztorze Shaolin-szu, gdzie osiadł, zapro-
wadził surową dyscyplinę fizyczną. Wkrótce rozeszła się
wieść o nadzwyczaj skutecznych technikach samoobrony
mnichów owego klasztoru. Dziś traktujemy ową sztukę wal-
ki na gołe pięści za załazek narodowego sportu chińskie-
go, zwanego kempo.

Na początku XVII wieku cywilna administracja Okina-
wy, będącej pod panowaniem Chin, została zastąpiona przez
administrację wojskową. Okupant zabronił posiadania ja-
kiejkolwiek broni. Potrzeba obrony przed najeźdźcą spra-
wiła, że mieszkańcy wyspy zaczęli udoskonalać technikę
kempo, stając się z biegiem czasu niepokonanymi mistrza-
mi karate. Zdając sobie sprawę z przewagi techniki w
walce na gołe pięści, karatecy przez długie stulecia utrzy-
mywali w tajemnicy metody nauczania. Dopiero na po-
czątku naszego wieku pierwsi mistrzowie karate rozjecha-
li się po Japonii, a potem stopniowo po wszystkich za-
kątach świata.

Formę sportową karate zawdzięcza Gichino Funakoshi,
który w 1917 roku wystąpił publicznie z pierwszym pokaze-
m karate. Do 1922 roku karate było praktykowane ja-
ko jedynie sztuka obrony, bez możliwości umieszczania go
w sportowych ramach. Dopiero Funakoshi udowodnił, że
karate może z powodzeniem stać się nową dyscypliną spor-
tową o niepowtarzalnej atmosferze, kształtująca charak-
ter i samokontrolę, co odgrywa dużą rolę w tym spor-
cie.

W 1948 roku utworzono Japan Karate Association. W
dziewięć lat później rozegrano w Japonii pierwsze mistrz-
ostwa kraju. Od 1966 roku są organizowane mistrzostwa
naszego kontynentu.

W naszym kraju pierwsze sekcje karate zaczęły pow-
stawać na początku lat siedemdziesiątych. Z inicjatywy
inż. Kazimierza Krukowskiego przyjeżdżali do Polski ka-
ratecy z Czechosłowacji, Jugosławii i Austrii, by prowa-
dzić szkolenia instruktorów. W tym też czasie organizo-
wano pierwsze obozy, zgrupowania i zawody, które były
nieoficjalnymi Mistrzostwami Polski.

Zawody w kraju odbywają się dość rzadko. Toteż są
one dobrą okazją dla sprawdzenia swych umiejętności,
wymiany doświadczeń, podpatrzenia metod treningowych.
Zawody rozgrywane są w dwóch konkurencjach: komite
(walka sportowa) i kata (formalne ćwiczenia karate). Ko-
mite inaczej spotkania rak w stylu shotokan, to walka
między dwoma zawodnikami. Ciosy są kontrolowane i wy-
prowadzane na pole trafienia, które znajduje się powy-
żej pasa. Pięciu sędziów ocenia jakość, a także siłę ude-
rzenia i prawidłowość techniki. Kata to walka pozorowa-
wana z wieloma przeciwnikami, pojedynczo lub w gru-
pie, a kryteria oceny podobne jak w komite.

Powiedzieliśmy, że sportowe karate to samokontrola. Na
czym ona polega? W walce należy przekonać sędziów, że
gdyby nie samokontrola przy zadawaniu ciosu, to przeci-
wnik otrzymałby „śmiertelne uderzenie”. Cała sztuka po-
lega na tym, aby błyskawicznie cios, nienaganny techni-
cznie, powstrzymać tuż przed ciałem przeciwnika. W przy-
padku uderzenia zawodnik atakujący zostaje zdyskwalifi-
kowany.

Nie sposób mówić o karate, nie wspominając o jego fi-
lozofii. Obserwatora uderza szacunek dla przeciwnika, po-
waga i koncentracja w trakcie treningów lub zawodów.
Ten wewnętrzny spokój tak bardzo odbiega od nerwowo-
go rytmu naszej epoki. Z całą pewnością jest to sport,
który pozwala maksymalnie opanować własne ciało, na
głównym jednak miejscu stawia kształcenie charakteru i
sily ducha.

MIROSLAW ONOSZKO

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Młodzieżowych
przy ZW ZSMP w Poznaniu.

Coś dla ludzi



Czytelnicy telefonowali byśmy
byli nieco bliżej życia. „Dajcie
choć raz gołą babę” — po-
wiedział jeden z nich. No, to
dajemy, ale roz. Co sobie be-
dzimy babami głowę zawracać?

Dzień w którym ukazuje
się nasz dodatek jest dniem
niezwykłym. Może więc
choć raz dzisiaj

**SPOJRZ
NA ZEGAREK**

by przekonać się, że na-
prawdę mamy niewiele
czasu.

W STRONĘ KINA

Właściwie każda praca jest azylem dla
człowieka w pełnym sprzeczności i niejed-
nokrotnie okrutnym świecie. Pochłonięty
swoją pracą, zmuszony do skupienia na niej
swojej uwagi człowiek oddał się od wielu
codziennych kłopotów: rodzinnych, uczuciowych,
materialnych. I wielu innych. Ale ten azyl bywa
tymczasowy w zasadzie tylko wtedy, kiedy pra-
ca pochłania człowieka, gdy więc wykonuje ją
z pasją.

Pasja towarzyszy na ogół pracy artystycz-
nej. Ta z kolei jest niekiedy narażona na ko-
punktualne wznioły i upadki. Tak jest dość
często w świecie muzyki rozrywkowej, zwanej
niekiedy lekką i łatwą. Uważam, że niestety.
Film produkcji radzieckiej „Kapelusz” obraca
się właśnie w kręgu tej muzyki, a jego bohate-
rem jest wybitny trębacz jazzowy Denisow. Otóż
gdy uprawiana — choćby z największą pasją —
twórczość przestaje być modna, zamiast azy-
łem wobec świata staje się dodatkowym źró-
dłem udręki. Denisow właśnie uprawia „stary
dobry jazz”, uprawia go dalej po mistrzowsku,
cóż z tego, skoro nowe pokolenie tworzy już
nową muzykę, dla niej ten rodzaj jazzu to kla-
syka muzyczna dobra dla wapieniaków. Niestety,
taka jest okrutna prawda, każdy czas ma swoją
muzykę, co uwidacznia się głównie właśnie w
muzyce rozrywkowej. W tej dziedzinie mody
zmieniają się szybko, a to, co przestarzałe —
jest bezlitośnie odrzucone do lamusa.

Denisow traci więc swój azyl, do którego
ciekał przed światem, z którym nie mógł, czy
nie chciał sobie ułożyć normalnych stosunków.
Przywykł, jako podziwiany artysta, traktować
świat egoistycznie. Brał z niego to, co mu było
wygodne, uciekał od obowiązków. Rozwiódł się
z żoną, zaniedbywał córeczkę, nową sympatię
ustawiał też nagiąć do swoich przyzwyczajień,

Azyli

nawet zespół młodych muzyków, których przy-
gotowywał do występów porzucił bez słowa, gdy
zaproponowano mu intratną i wygodną kilku-
miesięczną pracę w Soczi, gdzie miał wystąpić
w montowanej tam wielkiej rewii. Stale obser-
wujemy u Denisowa ten sam sposób traktowa-
nia ludzi — brać od nich to, co przyjemne —
dawać wzajemnie jak najmniej.

Tymczasem konflikty na tle uprawianej mu-
zyki zaczynają się mnożyć. W Soczi Denisow
popada coraz częściej w kłopoty na tym tle
dochodzi do zadrzeńień z zespołem, z jego me-
nedżerem. Zaczyna go to męczyć. A że nie tu-
bi sytuacji nieprzyjemnych, zrywa kontrakt
wraca do Moskwy. Kiedy azylem przestaje być
muzyka — Denisow zaczyna rozumieć, że być
może jednak należy go poszukać w życiu pry-
watnym, rodzinnym. Tu jednak zbyt wiele za-
niebdał. Jego sympatia zdążyła związać się z
innym; córkę powiadomiono, że ojciec już nie
żyje (miał rzeczywiście groźny wypadek samo-
chodowy) i nie chcą tego faktu dementować
u matki i siostry zostaje powitany mile, ale do-
syć chłodno; je też przecież zaniedbywał, przy-
zwyczyły się, że wpada tylko na chwilę.

I tak film przepełniony muzyką, występami le-
ningradzkiego Music-hallu, tętniący atmosfera
rozrywki, przynosi refleksje dosyć smętne na te-
mat egoizmu w życiu, odpowiedzialności, źró-
deł samotności człowieka. Stawia pytania o lu-
dzi, którzy nie nadążają za rozwojem uprawia-
nej dziedziny twórczości, którzy żyją przeszłością
a jednocześnie nie starają się ustabilizować
swojego życia, tak by znaleźć w nim trwały
azyl na starość. To są pytania nie tylko dla mu-
zyka jazzowego.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Wczoraj — dzisiaj — jutro

Czasy ciekawsze niż życie

„Dzieci, bezceremonialnie
wdrapało się na mój kolana,
zaanektowało kartę papieru,
na której zamierzałem roz-
prawić się z wszelkimi pro-
blemami gnębiącymi mnie,
znajomymi i społeczeństwo.
Usadowiwszy się wygodnie,
mówi rozkazującym tonem,
sepleniąc przy tym niemilo-
siernie: „Chcę konia. Piś ta-
tuś konia”.

Nadzieję, że powrócę do za-
mierzonej pracy, traciłem z
każdą chwilą. Rozejrzałem się
beznadziejnie. Zadnych szans,
nie pozostawało mi nic inne-
go, jak zacząć nieprawdą ręką
rysować coś, co od biedy
mogło przypominać skrzyżo-
wanie żyrafy z hipopotamem.
Mała data jednak dowód du-
żej wyobraźni dopatrując się
w tym rumaka.

Kombinowałem przez cały

czas jak uwolnić się od za-
chcianek malej terrorystki.
Perswazje nie skutkowały, a
wszelkie bardziej zdecydowa-
ne próby skierowania zainte-
resowań dziecka w inną stro-
nę napotykały natychmiast
zdecydowane przeciwdziałania
nie żony. Najwyraźniej zbyt
przejęła się ona radą, udzie-
loną jej przez znajomą w
dużych okularach, że „męż-
czyzna powinien mieć swój
udział w wychowaniu dzie-
cka”. Pozostawało mi więc je-
dynie zdać się na łaskę i nie-
łaskę płci pięknej.

Melancholijnie pomyślałem
o tym, ilu mężczyzn jest co-
dziennie w podobnej sytua-
cji? Zachodzę kiedyś do ko-
legi, w drzwiach wita mnie
pani domu. Podczas miłej
pogawędki z łazienki docho-
dzą mnie jakieś dziwne od-

„W ciekawych czasach
przyszło panu żyć” —
od ponad dwóch
lat mówią mi to różni prze-
łożeni i decydenci uzasadnia-
jąc tym swój negatywny sto-
sunek do moich narzekań na
kłępskie wynagrodzenie, brak
perspektyw i w ogóle trud-
ności. Jak gdyby ciekawe
czasy mogły mi zastąpić pu-
stkę w kieszeni i brak włas-
nego mieszkania. Wszem i
wobec oświadczam więc, że
mogę żyć w całkowicie nud-
nym okresie, w którym wszy-
stko idzie ustalonym leniwym
trybem, ale za to nie mieć na
głowie tyłu problemów, jakie
niesie nasza interesująca rzec-
zywistość.

Gdy niedawno, po raz ko-
lejny usłyszałem, że być mo-
że młodym jest rzeczywiście
ciężko, ale przynajmniej tyle
się dzieje, więc mają ogrom-
ne pole do popisu — miarka
się przebrała. Postanowiłem
„skrobnąć” coś o tych cieka-
wych czasach.

Terazniejszość jest jaka
jest. Nic w niej nadzwyczaj-
nego. Ludzie rodzą się, żyją i
umierają — zwyczajnie jak

od tysiącleci. Wojny, katak-
lizmy, morderstwa i zamachy
— wszystko już było daw-
niej. A życie tak naprawdę
ciekawe zrobiło się w Polsce
dopiero od dwóch lat. Wy-
jaśnieniem nie jest również
fakt, iż pojawiają się napisy
na ścianach i trochę bibuły.
Nie jest to nic nowego. Baz-
groty na murach, były zaw-
sze, czasami nawet niecenzu-
ralne, a sporo literatury zaw-
sze krążyło nielegalnie. Nie-
zwyczajność życia w Polsce w
roku 1982 musi więc polegać
na czymś innym, głębszym.

Zaraz po powrocie z pracy
i skonsumowaniu przydziało-
wej ilości z wolowiną, posta-
nowiłem sprawę tę dogłębnie
wyjaśnić. Z ochotą usiadłem
za biurkiem, chwyciłem dłu-
gopis i żwawo zabrałem się
do dzieła.

Nie ukończyłem nawet
pierwszego zdania, gdy z dru-
giego kąta pokoju dobiegł
mnie bojowy okrzyk „Marta
też chce pisać”! To moja
dwuletnia latorośl płci żeń-
skiej dopominała się swych
praw.

głosy. „Zdaje się — mówię —
że kupiliście wreszcie auto-
matyczną pralkę”. Wiem bo-
wiem, że „polowali” na nią
już od dawna. „Ależ skąd —
odpowiada — jeszcze nie
przyszły. To mąż robi prze-
pierkę”. Zrozumiałem wtedy,
że od partnerskiego modelu
rodziny nie ma ucieczki.

Za czasów Piasta Kotodzie-
ja panował zupełnie inny u-
kład stosunków rodzinnych, o
wiele prostszy i przynaj-
mniej wiadomo było, kto za
co odpowiada. Wychowaniem
potomka do 7 lat zajmowała
się Rzepicha, a później brał
go w swe ręce ojciec i uczył
jachu, najeźdźcą królew-
skiego. Gdzie nam dzisiaj do
tamtej słowiańskiej jasności i
prostoty wychowania. A takie
postacie jak Mieszko czy
Chrobry najlepiej świadczą o
efektywności tamtej metody.
Dopiero później coś zaczęło
się psuć w systemie, wyraźnie
odbilo się to na edukacji i umie-
jętności następnych
władców.

A dzisiaj to już wszystko
zagmatwało się niesamowicie.

MIROSLAW ONOSZKO

WALERIAN IGNASIAK

P. S. Tego dnia ku uciesze
dziecka narysowałem jeszcze
wiele interesujących kompoz-
cji. m. in.: lale cierpiącą na
wodogłowie, coś fruwającego:
mieszanie Maj z Misiem Usz-
kiem oraz Polskiego Piata z ma-
łym. Ale zamierzonego artykułu
nie napisałem. Po co? Każdy i
tak swoje wie.